

Prętkiewicz, Stefan

Nie łatwo było przetrwać

Przegląd Pruszkowski nr 1, 59-84

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojenne losy pruszkowiaków

Stefan Prętkiewicz

NIE ŁATWO BYŁO PRZETRWAĆ

I. Z Warszawy przez Francję do domu



Autor w 1939 r.

Moje wspomnienia z lat wojny napisałem, odpowiadając na apel Komisji Historycznej przy Kole Związku Inwalidów Wojennych w Pruszkowie. Ten fragment mojego życiorysu zawiera sporo wydarzeń, które nie wszystkim są znane, dlatego zgodziłem się udostępnić je szerszemu gronu Czytelników.

Dzień 1 września 1939 r. zastał mnie na Zamku w Warszawie. Po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej w Warszawie, gdzie uzyskałem stopień kaprała, pełniłem służbę kierowcy w Zamkowej Kolumnie Samochodowej. Był to dla mnie miesiąc bardzo pracowity i pełen emocji. Od momentu wybuchu wojny przewoziłem dokumenty z kancelarii prezydenta i bagaże jej pracowników do różnych, coraz

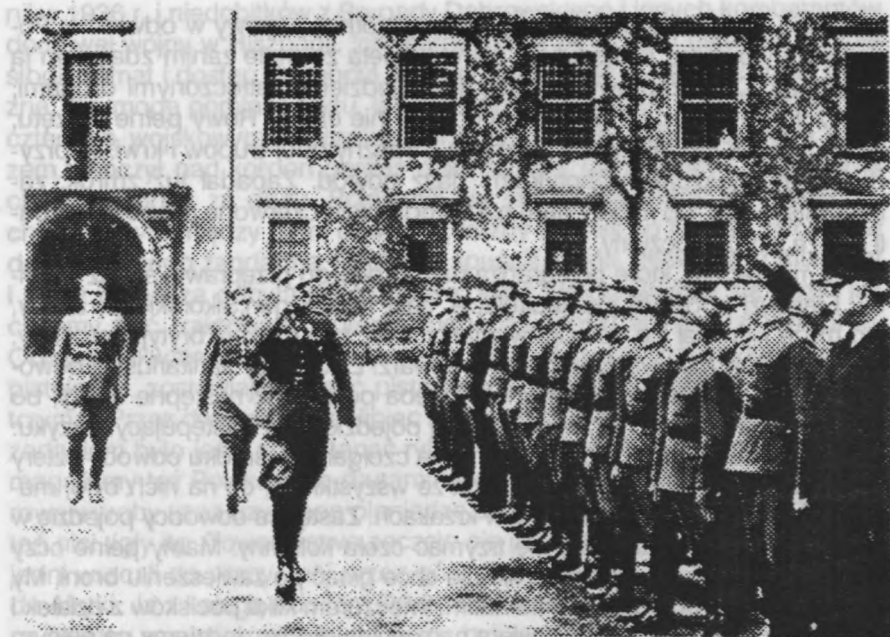
bardziej odległych od stolicy miejscowości: do Falenicy, Kraśnika Lubelskiego i wreszcie do Łucka. Po powrocie z Łucka zabrałem nowy ładunek i zgodnie z rozkazem pojechałem do Otyki. Nie wiedziałem wówczas, że nieprędko znowu zobaczę Warszawę. Podczas mych licznych kursów by-

tem kilkakrotnie atakowany przez samoloty Luftwafe, między innymi w Kurowie, Kraśniku Lubelskim, następnie w Łucku, pod Dubnem i pod Tarnopolem.

Z Ołyki, która, jak wspomniałem, była celem mojego ostatniego kursu z Warszawy, pojechałem przez Zbaraż do majątku braci Krzysztofowiczów, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg. Tutaj, 17 września przybył łącznik z Zaleszczyk, donosząc o inwazji sowieckiej na wschodnie tereny Polski. Po otrzymaniu tej wiadomości pojechalśmy do Kut. Stamtąd po dwóch dniach wszystkich wojskowych, w tej liczbie i mnie, odesłano do Rumunii, do Turnu Severik, do obozu przejściowego dla wojskowych. Następnym etapem był obóz dla internowanych w Targovista, gdzie potem zorganizowano obóz koncentracyjny, ale mnie tam już wówczas nie było.

W Rumunii byłem krótko, bo udało mi się uciec z obozu internowanych w Targovista do Bukaresztu, gdzie zdobyłem wizę wyjazdową i już 1 listopada 1939 r. przekroczyłem granicę Francji. Znalazłem się w Coëtquidan, gdzie formowano polską jednostkę składającą się przeważnie z emigrantów, którzy dla chleba opuścili Polskę w latach trzydziestych. Uczyłem emigrantów władania bronią. Po utworzeniu 1 Batalionu Pancernego przy 10 Brygadzie Kawalerii Zmotoryzowanej generała Maczka, niektóre kompanie wyjechały do Narwiku, reszta na Południe Francji w celu dalszego formowania się i szkolenia. Na front wyruszyliśmy z Vesrailles 8-9 czerwca 1940 r. Byłem w 2 Batalionie Pancernym, którego dowódcą był płk. Dworak, jego zastępcą mjr. Chabowicz, d-cą pododsz. kpt. Czapliński. 19 czerwca 1940 r. o świcie jednostka nasza stoczyła zwycięską walkę ze szpicą pancerną w okolicy Les Grandes Chapelles, działając z zasadzki.

Zwycięstwo odnieśliśmy dzięki doskonałemu dowódcy, jakim był kpt Czapliński, który już w kraju skutecznie bił Niemców, będąc dowódcą 10 Brygady Zmotoryzowanej na Podkarpaciu. Udało nam się w pełni zaskoczyć nieprzyjaciela, który stracił cały sprzęt: dwa działa szturmowe, pięć lub sześć czołgów, trzy transportery półpancerne, kilka motocykli i prawie całą załogę składającą się z ponad półtorej setki żołnierzy. Uszli z życiem tylko ci nieliczni, którzy dobiegli do rowu poza szosą. To był prawdziwy tryumf naszego II Batalionu czołgów niestety jedyny i ostatni. Tego dnia mieliśmy do towarzystwa dwu generałów francuskich i kilku oficerów z rozbitych uprzednio jednostek. Jedyny oddział w kompletnym składzie, jaki widziałem tego dnia, to szwadron spahisów i mały oddziałek marokańczyków, którym pomagaliśmy podrzucić dwóch rannych do najbliższego miasteczka. W walce nie ponieśliśmy strat, zaledwie kilku lekko rannych doraźnie opatrzonych, lecz już około południa zaczął nas dosięgać ogień artylerii, a wkrótce mieliśmy na karku Stukasy fala za falą, które latały nam nad głowami. Ich cholerne wycie, a często i celne bombki, zaczęły



Czerwiec 1939. Zamkowa Kolumna Samochodowa w dniu święta Oddziału Zamkowego, w skład którego wchodziły: Kompania Wartownicza, Pluton Żandarmerii oraz Kolumna Samochodowa. Szef Adiutantury i Oddziału Zamkowego gen. Chally dokonuje przeglądu. Szósty od prawej - autor

szczerbić nasze szeregi. Sam widziałem jak czołg trafiony bombką w samą komorę silnika rozleciał się jakby ktoś dmuchnął w kupę śmieci, a razem z nim wprost do aniołków poleciał podchorąży Niewinowski i kierowca kapral Pokurcz. Noc 19-20 czerwca i odwrót przy "zyrandolach" niemieckich flar pod ogniem artylerii, nie mieliśmy już do towarzystwa ni generałów ni oficerów, a tylko ogień, piekielne zmęczenie i pragnienie. Miałem na półce pod osłoną zawieszenia parę butelek wina i czekoladę i między nalotami, gdy uzupełnialiśmy paliwo tyknąłem butelkę, zagryzając czekoladą. Skutek był taki, że chwyciły mnie torsje tak dotkliwe, że wkrótce obrzydło mi wszystko, nawet życie i było mi wszystko jedno. Mając na zapleczu zabezpieczony most na kanale nawadniającym winnice, gdzieś koło Bains des Juifs, staraliśmy się dotrzeć tam za wszelką cenę, przejechać a następnie spalić za sobą ten most i odpocząć. Podczas tych nalotów straciliśmy już 3 czołgi i pięciu ludzi. Dowódca jest ranny odłamkiem

w kolano. Dowiaduję się o tym podczas krótkiej przerwy w odwrocie. Podali nam wówczas jakąś kawę, ale chlusnęła ze mnie zanim zdążyłem ją przełknąć. Do przeprawy już niedaleko, jedziemy zatłoczonymi drogami, ale czołgom każdy ustąpi z drogi choćby nie chciał. Rowy pełne sprzętu, ludzi rannych lub martwych, pijanych, straszny odór trupów i krwi. W przydrożnych chaszczach spotykamy nasz odwód. Zapadał już zmrok, zauważyliśmy ich, bo migwały nam nad drogą białe czerwone proporczyki, bali się, że ich przeoczymy.

W miasteczku, które przegradza nam drogę do przeprawy, są już Niemcy. Francuzi podpisali już kapitulację. Jest rozkaz gen. Sikorskiego, ażeby, kto może, kierował się do portów atlantyckich, tam czekają brytyjskie okręty. Kpt. Czaplinski ma wykrzywioną bólem twarz. Lekarz czy sanitariusz z odwodu robi mu pośpiesznie opatrunek. Trzeba porzucić 2 następne czołgi, bo się kończą a i paliwa nie za wiele. Dalej pojedziemy w następującym szyku: pierwsze dwa plutony bojowe z ośmioma czołgami, w środku odwód - cztery ciężarówki i pozostałe 5 obłuskanych ze wszystkiego, co na nich było, maszyn. Pusta cysterna zostanie tu, w krzakach. Zastępca dowódcy pojedzie w pierwszym wozie, reszta ma się trzymać czoła kolumny. Mamy pełne oczy krwi, usta i uszy pełne piasku. Nikt nie chce ginąć po zawieszeniu broni. My nie chcemy też iść w pazury Niemcom. Wieczorem kilka pocisków z działek i kilka długich serii z kaemów otwiera nam wolną drogę. Jedziemy na pełnym gazie i jak huragan przelatujemy przez miasteczko pełne niemieckich żołnierzy. Jeszcze chaszczki, groble, niemieckie patrole, potem kolorowe rakiety oświetlają przyczółek mostu, gdzie spotkałem swego kolegę Adolfa Dudę, dotrwali, dzięki Bogu. Obcałowałem mego kolegę, który tam tkwił od wielu dni. Trochę obmyci mogliśmy odpocząć drzemiąc przy maszynach. Rano 21 czerwca 1940 r. poleciał w powietrze most przed nosem zbliżających się tam Niemców. Jeszcze cały dzień i noc gnaliśmy przez Masyw Centralny, by 22 w Le Puy pozostawić przed Komendą Miasta 9 czołgów, reszta została na chodzie. Pozostawiliśmy sobie tylko ciężarówki. Jadąc w kierunku Bordeaux, dowiedzieliśmy się, że pół godziny przed nami port zajęli już Niemcy. Zrobiliśmy więc zwrot do Toulouse i wreszcie przez Pireneje docieramy do Portu Vendre. Kpt. Czaplinski pozostaje w szpitalu w Perpignan. Nigdy potem już go nie widziałem.

Pech czy przeznaczenie? Godzinę przed naszym przyjazdem odbił kontrtorpedowiec brytyjski, widzieliśmy go jeszcze jak na dłoni. W kilka dni potem zostaliśmy poproszeni o zmianę miejsca pobytu (jak nam tłumaczono miała być w porcie komisja włosko-niemiecka) tak więc trafiliśmy do Argeles sur Mer. Czym było to Argeles, wystarczy zapytać pierwszego z brzegu "Dąbroszczaka". Otóż był to obóz internowanych, a właściwie dwa obozy: męski i żeński dla republikanów walczących w Hiszpa-

nii w 1936 r. i niedobitków z Brygady Dąbrowskiego i innych kombatantów domowej wojny w Hiszpanii. Ich marny żywot za drutami osładzał jedynie słodki klimat i dostęp do morza, w którym mogli się wykąpać i uprać bieliznę. Nie mogę pominąć faktu, jak nas tam przyjęto, gdy zajechaliśmy tam czterema wojskowymi ciężarówkami i wysiedli na majdanie przed obozem. Otoczył nad kordon *gardes des mobiles* (żandarmów) i na chłama chcą nas gnać za druty. Przeliczyli się jednak, bo jakby na komendę, choć nie było między nami dowódcy, każdy sięgnął po gnata i wycelował do najbliższego żandarma. Pobledli i spuścili z tonu. Zjawił się komendant i przez tłumacza odbyła się rozmowa, skąd i jak zjawiliśmy się tutaj i jak chcemy być traktowani. Potem długo nas prosił, abyśmy złożyli broń. Obiecał zakwaterowanie i wyżywienie. Oddaliśmy kilkanaście karabinów i pistoletów, zostawiając część pistoletów i amunicji w ukryciu. Słowa dotrzymał. Przez dwa miesiące: lipiec i sierpień byliśmy na Riwierze i naszym zadaniem było jeść, spać, łapać ryby i opalać się. W miarę możliwości pomagaliśmy też Polakom za drutami, sprzedając w Perpignan ich miniaturowe wyroby, a za uzyskane pieniądze dostarczaliśmy do obozu chleb, tytoń nici, igły itp. Towarzystwo zaczęło się przemycać na wszystkie strony: jedni wracali do pracy, inni przez góry do Hiszpanii i dalej do Marsylii lub do Afryki. Ja z kolegą Adolfem Dudą udaliśmy się w okolice Lyonu. Wkrótce wyszło zarządzenie, aby wszyscy byli legioniści nie mający obywatelstwa formowali się w grupy robocze. W ten sposób w październiku 1940 r. trafiłem do 972 Grupe des Travailleurs Polonais w Serieres en Chantagne w Alpach tuż przy granicy szwajcarskiej. Zatrudniło nas Ministerstwo Wód i Lasów rządu Petain'a. Dowódcą Grupy był francuski kapitan, którego nazwiska nie zapamiętałem. Zaraz na wstępie wygłosił nam mowę mniej więcej tej treści:

- No cóż, żołnierze, przegraliśmy tę wojnę i wszystko, co nam pozostało, to praca - praca i jeszcze raz praca.

Utworzone zostały oddziały robocze "drwali" tych co mieli wyrąbywać lasy, smolarzy do wypalania węgla drzewnego, zakwalifikowani przez lekarza jako słabsi byli skierowani do wycinania wikliny lub do małego oddziału gospodarczego. Był też lekarz dentysta i alpinista, który uczył nas chodzić po górach. Zakwaterowano nas w zamku i stajni zamkowej, gdzie pomieszczenia były względnie czyste. Było z nami tylko dwu naszych poruczników: por. Stanek i por. Nowak, niezwykle równi kumple. Żarcie było skąpe a praca wymagała ogromnego wysiłku. Różnica poziomu między kwaterą a miejscem pracy wynosiła ok. 1800 m i do pracy szło się co najmniej 2 godziny w górę. Ubrani byliśmy jak parasole: ogromne czarne berety, brązowe ubranie i peleryny, na nogach owijacze i buty alpejskie.

Mieliśmy też świetlicę. Wiele wesołości narobił wiersz, który zamieściłem w gazecie ściennej, nawiązujący do mowy szefa francuskiego. A oto on:

*W Sorieres en Chantagne od świtu do wieczora
masz rąbać las w ten podły czas lub pisz się do doktora.
Nie spytał, Bracie, Ciebie nikt, czy ci się to opłaca.
Siekierę bierz, do lasu spiesz i praca, praca, praca!
A gdy posiłku przyjdzie czas - kucharz Ci obiad poda
Na każdą twarz trzy dania masz: więc woda - woda - woda.
Lecz się nie przejmuj druh ty mój - gdy takie przeznaczenie
za kilka dni lub kilka lat - wrócimy do rodzinnych chat
zostanie złe wspomnienie.*

I tak królewicze (lokatorzy zamku) i konie (ze stajni) doczekali świąt Bożego Narodzenia w 1940r., ale tuż przed gwiazdką przybyli do naszego obozu artyści polscy: Sielański, Brochwiczówna i Stanisław Dygat, który na gwiazdkę dla ośrody losu podarował nam marsza wraz z melodią i życzeniami przetrwania. Ponieważ nie wiem, czy jest on gdzieś notowany w Kraju, a jego autor zmarł niedawno, zanotuję tu te słowa. Tytuł: "My idziemy do Warszawy"

*Poprzez bór - przez bór. Poprzez las - przez las
Idziemy w krok z toporem w ręce
Raz i dwa i raz - echo gra od gór i piosence daje wtór
Choć drogi taki szmat - choć wrogi wokół świat
Będziem szli psia krew i niech grzmi nasz śpiew
Nieulękły polski śpiew tułaczy
My idziemy do Warszawy - my żołnierze świętej sprawy
Obcą ziemią obcym krajem - ojców naszych obyczajem
marsz, naprzód marsz!
Tęgo rąb a rąb - wszecz i w głąb i w głąb
Ścinaj piłą - wal toporem
Každy pień - to krok, każdy dzień to skok
Aż otworem stanie świat przed nami,
Choć wiatr nam w oczy dmie, choć świat nam życzy źle
Będziemy szli psiakrew i niech grzmi nasz śpiew
Nieulękły polski śpiew - tułaczy
My idziemy ... itd.*

Styczeń 1941r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rządu Petain'a ogłosiło w prasie, że byli żołnierze polscy mogą być repatriowani do kraju, jeśli sobie tego życzą. Zgłosiło się nas ponad 30 osób, między innymi i ja. W lutym wysłaliśmy list do Ministerstwa i wkrótce zostaliśmy przewiezieni do koszar przejściowych do fortu Vitriolerie w Lyonie. Stamtąd, zamiast na punkt etapowy, wpakowano nas do fortu Chapaly na zachód od Lyonu,

który był już częściowo zamieszkały przez republikanów Hiszpanii biegnących z obozów internowanych. Szefem był tam starszy sierżant Gager z Legii Cudzoziemskiej. Wyjątkowa kanalia i pijak, który gotów był nas wszystkich razem zamęczyć. Nasze zajęcia to przenoszenie nosidłami żwiru z jednej kupy na drugą. Jednej nocy gdy Gager popił, przeprowadziliśmy przez fosę kolegę E. Włodarczyka, Polaka z Francji, który prawdopodobnie przez biuro Czerwonego Krzyża spowodował, że wkrótce odstawiono nas na punkt etapowy do Mühlthaus, do Niemiec. Tam już nie było mowy o repatriacji, natomiast Niemcy przedstawili nam propozycję podpisania 1/2 rocznych kontraktów pracy w firmach niemieckich. Cóż, nie było wyboru, mieliśmy za sobą spalone mosty i w ten sposób trafiłem do F-my Leo Ziegler w Ulm n/Dunajem w Bawarii. Był koniec maja 1941r. Wkrótce wiedzieliśmy, dlaczego nas tam zwerbowano. Niemcy ruszyli na Związek Radziecki i powołali pod broń nowe roczniki. Po odbyciu kontraktu (pracowałem jako maszynista na lokomotywie kolei wąskotorowej), chciałem otrzymać urlop do Kutna ale odmówiono mi. Wówczas zdecydowałem się na ucieczkę. Tym razem los uśmiechnął się do mnie, bo w Elwangen, skąd rozpoczynałem podróż, trafiłem na grupę cywilnych Niemców, którzy jechali na osiedlenie się na zdobytej przez Hitlera Ukrainie. Przyłączyłem się do nich, ale serce mi waliło jak młot, kiedy pomyślałem, co to będzie, jak zaczną sprawdzać bilety i dokumenty. Ale konduktor sprawdził papiery tylko jednego z tej grupy, tego który siedział koło mnie. Reszty nie kontrolował. I tak udało mi się przejechać z Elwangen do Norymbergii, stamtąd przez Drezno do Wrocławia i z Wrocławia do Łodzi. Już 13 grudnia 1941 r. znalazłem się w domu w Pruszkowie.

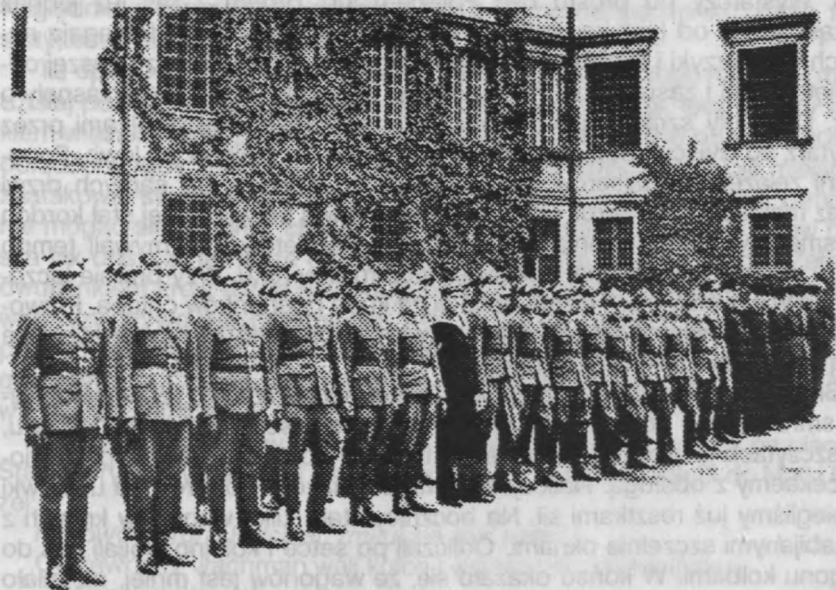
II. Śmierć ma nie jedno oblicze

Od lutego 1942 należę do plutonu 1731 Armii Krajowej; przyjąłem pseudonim "Wichura". Dowódcą 6 kompanii II batalionu był por. Zdzisław Chajęcki "Andrzej", znany raczej pod kryptonimem funkcyjnym "Gajowy". Pełniłem funkcję zastępcy dowódcy 1 plutonu Dywersji Bojowej. Szkoliłem młodocianych, magazynowałem broń i materiały wybuchowe. Pluton nasz wykonął wiele zadań zgodnie z rozkazami. Zniszczyliśmy mleczarnię w Jankach oraz w gminach Piastów i Skorosze ewidencję ludności, wśród której wiele osób było zagrożonych aresztowaniem. Prowadziliśmy też notowania transportów niemieckich na linii Skierniewice-Warszawa. 2.czerwca 1944r. zostałem aresztowany przez gestapo wraz z pięćdziesięcioma innymi osobami. Była to największa grupa aresztowanych w Pruszkowie. Dowożono nas do willi pod "Bocianem" samochodami osobowymi, a prócz tego napełniono aresztowanymi 2 "budy" razem było nas około sześćdziesięciu osób. Przewiezieni do Warszawy w Al.Szucha, po bada-

niach wstępnych zbici i skopani, trafiliśmy na Pawiak. Jak się później dowiedziałem od kolegów współwięźniów, większą ilość osób zadencjonował ppor. Tadeusz Kowalski pseudonim "Wrona", przypuszczalnie wtyczka gestapo.

Aleję Szucha odwiedzałem jeszcze dwukrotnie. Dowożono nas tam "bunkrem". Przy pierwszych zeznaniach uporczywym milczeniem doprowadziłem SS-mana do szału, dostałem pistoletem w czaszkę i straciłem przytomność. Obudziłem się w celi zalany krwią z zawiązaną głową. Następnym razem moi oprawcy byli w różowych humorach. Dali mi gotowy już protokół z zakończenia śledztwa. Podpisałem bez wahania, było mi już wszystko jedno, a po powrocie do celi czekałem na swoją czapę. Pod koniec lipca na Pawiaku nastąpiły jedno po drugim niespodziewane wydarzenia. Najpierw próba odbicia więźniów przez oddział z zewnątrz, który jednak nie wytrzymał ognia niemieckiego i rzuciwszy wiązkę granatów pod bramę, wycofał się. Szczegółów nie znam, podobno ten fakt uzgodniony wcześniej miał być połączony z działaniem od wewnątrz oddziału trzeciego. Była gęsta strzelanina i esesmani wycofali się już na Serbię (oddział kobiecy) ale pozostał bunkier na I piętrze i zaryglował z cekaemu klatkę schodową. Następnego dnia wykończyli oddział II C, ponad 300 osób, z tym, że więźniów niemieckich z tego oddziału wymieniono na Polaków z innych oddziałów. Potem cały oddział rozebrano na majdanie do bielizny - przejściem koło krolikarni przepędzono ich do wypalonych murów dawnej składnicy pocztowej róg ul. Gęsiej i Zamenhofs. Eskortowani byli przez duży oddział SS i pluton egzekucyjny szaulisów (Łotysze). Byłem bardzo wstrząśnięty tą akcją i z celi 206 przy pomocy kawałka lustra ustawionego w oknie obserwowałem podwórko. Widziałem tych skazańców już po raz ostatni. Nie słyszeliśmy salw egzekucji, ale jak się później dowiedziałem, mieli tam już wówczas komorę gazową. Przez cały następny dzień walił z tych murów w jasne niebo czarny lepki dym i docierał aż do Pawiaka swąd palących się tam ciał. Taką to śmierć miał mój ukochany młodszy brat Piotr Prętkiewicz, a także wielu serdecznych kolegów i znajomych z Pruszkowa: Jan Perz, Eugeniusz Oracz, Jan Makowski, Euzebiusz Małkiński, Marian Pilarski, Jan Mucha, dwóch braci Szpilkowskich, Jagodziński, Prokopowicz i inni, których nie pamiętam. 28 lipca wieczorem odbył się przegląd lekarski więźniów Pawiaka i selekcja, co na oddziale szóstym nie trwało dłużej jak pół godziny. Najpierw przepędzono nas do cel po przeciwnej stronie korytarza gdzie powstało zagęszczenie podwójne. Za kilka minut szczęknęły rygle i donośne "*Raus, schnell!*" - potwierdzono lufą pistoletu. Biegliśmy rozbierając się w galopie do połowy. W końcu korytarza stał esesman w białym kitlu, a obok niego nasz "Kotek" z nieodłącznym kijkiem. Należało podnieść kolejno ręce i nogi, robiąc w

tył zwrot. Rzekomy lekarz wymawiał tylko dwa słowa: "ja" i "szajse". "Ja" - to znaczyło zdrowy, "szajse" to ropiejący po pobiciu lub inwalidzi. Zdrowi napelniali kolejne cele i tam byli wiązani drutem za ręce po dwóch, jeden lewą drugi prawą ręką. Tak powiązani i stłoczeni przesiedzieliśmy w celach do rana. Domyśliśmy się więc, że czeka nas transport, a z nim jakaś wąła nadzieja ocalenia. Wcale mnie to jednak nie cieszyło.



Rok 1939. Oddział Zamkowy; dwunasty od lewej - autor

Brat i koledzy nie żyją, nie wiem, co się dzieje z trzema pozostałymi braćmi, a może i nas zapędzą do komina. Wolną ręką, na szczęście prawą, kawałkiem grafitu na serwetce z bibuły piszę gryps. Może uda się gdzieś go wyrzucić i powiadomić żonę i rodziców o tym, co wiem i że jeszcze żyję. Transport ten, ostatni transport z Pawiaka tuż przed powstaniem, nazywany potem transportem śmierci, wymaga nieco szerszego opisanie.

A więc po kolei. Wstawał świt 29 lipca 1944. Powiązani drutem siedzieliśmy w kucki na posadzce celi. Groza, niepewność, oczekiwanie, ten i ów kawałkiem gwoźdźca, widelca lub kamyka wydlubywał na ścianie swoje pożegnanie, słowa nadziei lub rozpacz. Z okna celi 206, w której spędziłem najwięcej czasu, gdy wysadzili ostatnie wraki domów Ghetta, roztaczał się dość rozległy widok na te kurhany gruzu, spośród których jak okręt

wśród fali wynurzał się po lewej kościół karmelitów, horyzont znaczyła pozębiona linia baraków i parkanu "Gęsiowy", po prawej nieco wyższe mury poczty, czarne czeluście wypalonych okien, z których wysnuwał się jeszcze dym i śwąd, docierający aż tu, do nas. Kochany Bracie, Drodzy Kole-dzy, Serdeczni Męczennicy - tam już pozostaniecie na zawsze, tam wasza wspólna mogiła. Jak niewielkich trzeba przewinień, żeby ginąć w ten sposób. Wystarczy po prostu być Polakiem lub Żydem. Czas już jednak otrząsnąć się od tych rozmyślań i refleksji, bo z korytarza dobiegają naszych uszu krzyki i szczęk rygli otwieranych cel. Wkrótce i przy naszej odsunięto rygiel i zasuwę; pchnięte potężne drzwi otworzyły się i trzasnęły o mur. Dwie lufy szmajserów i: "*Raus! Schnell!*". Biegliśmy dwójkami przez korytarz do wyjścia, potem w dół po schodach na majdan i w lewo. Popędzani żelazem szmajserów biegliśmy bardzo szybko. Od samych drzwi przez majdan aż do Serbii i do bramy wyjściowej przy Dzielnej stał kordon esesmanów, którzy kopniakami i kolbami pistoletów utrzymywali tempo biegu, strącając wszystko, cokolwiek ktoś miał w rękę. Przy bramie łączono nas w czwórki, obok leżała dość duża kupa bochenków chleba. Prawoskrzydłowy powinien złapać 1 bochenek chleba, było to zaopatrzenie na całą drogę dla czterech więźniów.

Biegliśmy wąwozem dawnej ulicy Zamenhofs. Przy skrzyżowaniu z Gęsią smród dławił oddech, tliły się tam jeszcze resztki trzeciego oddziału, po szczytach gruzowisk raz po lewej, to znów po prawej stronie postawiono cekaemy z obsługą. Naliczyłem 4 takie gniazda. Do torów za ul. Stawki dobiegliśmy już resztkami sił. Na bocznicę stało kilka wagonów krytych z pozabijanymi szczelnie oknami. Odliczali po setce i kolejno wbijali nas do wagonu kolbami. W końcu okazało się, że wagonów jest mniej, niż miało być, więc pozostałych rozdzielili na cztery i wbili dodatkowo do pierwszych czterech wagonów.

Byłem w trzecim z kolei piętnastotonowym wagonie, gdzie wtłoczono około 130 osób, a więc beczka śledzi. Pierwsze chwile, mimo straszliwej ciasnoty, można było wytrzymać. Byłem przy bocznej ścianie od strony północnej, odłamanym kawałkiem gwoźdźnia wydłubywałem stary sęk i wkrótce mi się to udało. Gdy transport ruszył, wyrzuciłem naszykowany już w celi gryps. Ale wkrótce pociąg stanął. Druty z rąk pozrzucaliśmy pomagając jeden drugiemu zaraz po zamknięciu wagonu. Teraz robiło się piekielnie gorąco i brakowało powietrza. W przeddzień transportu przywieźli esesmani niewielką grupę więźniów z Rakowieckiej. Niewątpliwie byli to różnego rodzaju cwaniaki i prawdziwi kryminaliści, skumplowani i mający swój żargon. Jak na nieszczęście w naszym wagonie znalazło się ich conajmniej czterech. Oni to właśnie pogorszyli naszą i tak już trudną sytuację. Próżno apelowali co rozsądniejsi, ażeby kucnąć jak najniżej, nie

rozmawiać, oddychać krótkimi haustami. Ci cwaniacy, czując zagrożenie uduszeniem się zaczęli się zwoltywać i terroryzować wszystkich dookoła, zapewniając dla siebie jak najlepsze miejsca. Ja od swej mozołnie wydłubanej dziurki zostałem odrzucony gdzie popadło, lecz wtedy znalazłem się blisko kolegi Trzczińskiego, a on podał mi buteleczkę z amoniakiem, aby dawać co słabszym do wachania, co też czyniłem czując się jeszcze względnie, a sytuacja w wagonie była już tragiczna, bo słońko grzało, niestety, coraz silniej.

Tu opiszę kilka scen, które są najczystszą prawdą, choć na pozór mają dzisiaj posmak fantazji. Jeden z poszkodowanych jak ja, lecz starszy wiekiem więzień, który przy ścianie miał jakąś małą szczelinę od której został odrzucony, gdy zaczął się już dusić, zapragnął odzyskać swoje miejsce i zaatakował swego krzywdziciela, chwytając go wprost za gardło. Tamten, nie mogąc się uwolnić, chwytając but i bije napastnika po głowie. Krew pryskająca jak deszcz na nasze głowy, wkrótce obaj osuwają się w dół. Zatruta dwutlenkiem krew różne powoduje objawy i reakcje. Następny z współtowarzyszy zrywa się gwałtownie, jego oczy są wybałuszone i straszne, podnosi w górę rękę potem zębami chwytając za nadgarstek, charcząc przegrza tętnicę. Czarna, lepka krew bluzga fontanną dookoła na nasze głowy, twarze, ramiona.

Co chwila ktoś osuwa się w dół i konając zostaje udeptany na placek. Stasne ryki i wycia a nad wszystkim równo i miarowo Litania do Matki Bożej:

Królowo Korony Polskiej, zmiłuj się nad nami...

Od zewnątrz wachman wali kolbą i wrzeszczy po ukraińsku:

- *Małczaj sukinsyn!*

W końcu ktoś podważa deskę w oknie i zagląda do środka. Nie wiem, esesman czy Ukrainiec. Zobaczył, co chciał i to mu wystarczyło. Podważona deska dostaje się do rąk stojących przy oknie, leżąca druga i trzecia wyłamane z okna deski. W drugim oknie też jest już wyłom. Ktoś z zewnątrz kieruje w te okna strumień wody z hydrantu. Kto żyje otwiera szeroko usta, aby chwycić kroplę lub chwytając ją w brudne, często okrwawione dłonie i wypija szybko, łapczywie. Przez dłuższy czas opiekują się małym, może dwunastoletnim chłopcem. Nie znam jego nazwiska i nie było kiedy o to spytać, kiedy go zobaczyłem, że patrzy na mnie błagalnie, podsuwałem mu często pod nos buteleczkę z amoniakiem, a on się uśmiechał, ale nie mówił nic, a ja nie pytałem. Ma na lewym policzku ciemną plamkę. Teraz, gdy nas poleli wodą, wszystko ucichło. Od okna dopływa strumień świeżego powietrza. Cudownie pachnące jest to lipcowe powietrze. Odwracam się do chłopca i mówię:

- Teraz bądź ci już dobrze, oddychaj głęboko - ale on ma oczy zamknięte, odetchnął tylko raz głęboko i więcej już nie oddychał. Siedziałem na trupach a on na moich kolanach miał opartą głowę. Ta śmierć mnie wzruszyła, łzy płyną mi po okrwawionej twarzy i skapują z brody ciemną posoką na czoło tego malca. Odłożyłem go na bok i już mnie nie interesował. Na podłodze wagonu leży trup na trupie, na nich siedzą ci, co żyją.

Zbliża się wieczór i ruszamy przez Bema na Szczęśliwice, tam doczepiają gdzieś w środku składu lorę z obsługą cekaemu; na końcu osobowy wagon dla ss-manów. Transport jest już gotów do drogi, ale stoimy tam całą noc. Rano przez Włochy-Gołąbki docieramy pod Piastów. Tam po raz pierwszy otwarto wagony, oczywiście otoczywszy je uprzednio kordorem.

- *Raus, absteigen, schnell!*

Z wagonów wysiadają umorusane i wymięte, często okrwawione i bez wyjątku cuchnące istoty. Opuszczam wagon jako jeden z ostatnich (byłem już bardzo słaby), za mną całą podłogę wagonu zaścielają zwaly trupów, czarne i jakby ugotowane, przy dotknięciu grzęzną w nich palce. W dalszych wagonach więźniowie są w lepszej formie, silniejsi, ich więc esesmani zapędzają do wynoszenia trupów, pozostawiając nas chwilę w spokoju. Znajdujemy się na zakręcie pomiędzy Gołąbkami a szosą na Ursus. Siedzimy w płytkim wąwozie przy torach. Pojedziemy więc przez Piastów-Pruszków. Oblegają mnie wspomnienia i troski rodzinne. Pozostawiłem oprócz wszystkich moją dziewiętnastoletnią żonę w ciąży, bez zabezpieczenia finansowego, przerażoną moim aresztowaniem i rewizją. Jak ona, biedna, da sobie radę w tej nędzy, w tym stanie i beze mnie. Chwyta mniecoś za gardło, a z oczu same leją się łzy i obmywam nimi twarz. Razem z tymi łzami odsuwa mi się jakiś kolec spod serca, który tkwił tam od wielu godzin. Z wagonu poprzedzającego nasz wynoszą m.in. K.Łukasiewicza, Dąbrowskiego, Gałkowskiego i dwóch braci Jarzębowski. Z naszego, wśród wielu, wielu innych nie przeżył podróży J.Paradowski, Zdzisław Wall, I.Chudzik. Wydawało mi się, że niektórzy z wynoszonych byli jeszcze żywi. Gdy nieśli Felusia Trzcńskiego wyglądał jeszcze normalnie a już nie żył. Minęło niewiele ponad trzydzieści godzin od chwili gdyśmy wsiadali do tych przeklętych wagonów a tyle tragedii i nieszczęścia już za nami. Nieboszczyków załadowali do wagonu tuż za lokomotywą, ażeby nie śmierdzili ss-manom, którzy jechali na środkowej lorze i na końcu składu w osobowym wagonie.

Wkrótce ruszamy dalej; w Pruszkowie udaje mi się wyrzucić króciutki gryps. Zatrzymujemy się dopiero w Żyrardowie, na bocznym torze za stacją, tuż przy przejeździe na ul.1 Maja. Żyrardów to nasz jedyny żywiciel na całą drogę. Chleb z Pawiaka nie mógł posłużyć za pożywienie, był prze-

siąknięty potem, krwią i trupim zapachem. Gdy esesmani pozwolili podać nam wody, kobiety i dzieci Żyrardowa napoili nas i nakarmili w ciągu pół godziny. Przed tym jednak ci, którzy głośno krzyczeli: "Chleba! Wody!" byli rozstrzelani. Przejeżdżający lokomotywą po sąsiednim torze maszynista obiecał, że odbiją nas w dalszej drodze. Nie nastąpiło to jednak i tylko na skraju lasu za Radziwiłłowem leżało kilka świeżych trupów. Być może była próba jakiejś akcji lub egzekucja. Prawie na każdej stacji stoimy na bocznych torach. W kierunku Warszawy idą transporty wojskowe: czołgi, działa, ciężarówki i Wehrmacht.

Pod wieczór mijamy Rawkę, zatrzymujemy się vis á vis tartaku i mamy na co popatrzeć. Rozładowują tam transport jeńców radzieckich. Są straszliwie wymęczeni i wychudzeni, przez otwarte drzwi wagonów widać leżące na podłodze trupy. Nasi zmarli z sąsiadujących z naszymi wagonów pachną już tak, że trudno nam wytrzymać, skarży się esesmanom maszynista i wymiotuje. W końcu lokomotywa wykonuje manewr z odczepionym wagonem i przetacza go na ślepy tor przy tartaku. Nim odjedziemy, wagony te zostaną polane benzyną i podpalone. Jak się później dowiedziałem, były tam dwa wagony: jeden więźniów Pawiaka, drugi jeńców radzieckich. Zamieszkali w pobliżu ludzie twierdzili, że słyszeli krzyki z palących się wagonów. Obecnie prochy spalonych spoczywają w niewielkim mauzoleum na Cmentarzu w Skierniewicach.

W dalszej drodze 1 sierpnia ginie jeszcze kilku więźniów. Są to ci, którzy na skutek uduszenia i szoku postradali zmysły. Wyli przeraźliwie, szczekali, ryczeli itp. Z reguły byli ci nieszczęśliwcy na każdym postoju załatwiani strzałami w tył głowy. A w ogóle to esesmani, konwojujący nasz transport, jakby się powściekali i nazywali nas *Banditen von Warschau*. Jak się nieco później dowiedzieliśmy, w Warszawie wybuchło już Powstanie. W podobny sposób przyjmuje nas *SS-Lagerdienst* Gross Rosen na stacji przeznaczenia tej samej nazwy. Zdziesiątkowani, głodni, spragnieni, ledwo trzymający się na nogach, rozładowujemy się jak na pokazie sprawności, dopingowani kolbami pistoletów, pałkami i kopniakami. W opróżnionych wagonach pozostają jeszcze tu i tam trupy stłamszone jak szmaty i cuchnące okropnie. Wszyscy zresztą jesteśmy im podobni i podobnie pachnący, tyle że jeszcze żywi.

III. Gross-Rosen

Banditen von Warschau muszą biegać, kto już nie może, nie ma na co liczyć. Ustawiają nas na placu apelowym po prawej stronie od bramy wejściowej. Jest głęboka noc z budynku Lagerdienstu i wieżyczki po drugiej stronie bramy leją się na nas strumienie oślepiającego światła reflektorów. Ustawiają nas po setce w każdym szeregu. A szeregów dużo: za naszym

drugi - dziesiąty, w mig wiadomo, ilu nas tu jeszcze jest. Szybko rozbieramy się do naga, składając ubranie na ziemi, przed sobą. Na komendę maszerujemy kilkanaście kroków, pozostawiając wszystko, co zdjęliśmy z siebie.

Po prawej stronie pół nieba zasłania wysoka ściana kamieniołomu. Teraz, w nocy, wygląda to jak czerwona otchłań. Przed nami na tle nieba masywna sylwetka komina, dymiącego wprost do nieba. Strumień tego czarnego, lepkiego dymu rozsnuwał się ku górze, tworząc gdzieś tam wysoko obłok.

Teraz, kiedy pozbyliśmy się ciuchów, smród nieco ustąpił, zresztą czekamy na łaźnię i to niezbyt długo. Jeszcze przed łaźnią dokładny przegląd. Jeśli ktoś usiłował coś przemycić, temu nie zazdroszczę, ale nie czuję nic, nawet nie współczuję, jestem otępiały i na wpół żywy, a poza tym usiłowali przemycić coś przeważnie różnego rodzaju "klawisze" i handlarze, którzy już na Pawiaku organizowali biżuterię lub złote monety. Ponad tysiąc ludzi było błyskawicznie wykąpanych i ubranych zanim rano wstały zorze. Warto, myślę, zanotować, jak się to odbywało. Już w komorze przed prysznicami stało po dwóch stronach drzwi dwóch drabów. Jeden, ten z lewej strony, miał przed sobą wiadro z formaliną i pędzel na kijku. Wchodziliśmy, mając ręce zaplecione na głowie. Tym pędzlem każdemu robił trzykrotne "chlap-chlap": dwa pod pachami, i trzeci poniżej. Ten z prawej strony, a był to chłop ogromny, trzymał w łapie, którą bez przesady mógłby powalić wołu, ogromną brzytwę (sądząc z jej rozmiaru, była to reklamówka, albo dekoracja na wystawę), tym zacnym narzędziem dwa ciosy załatwiały owłosienie pod pachami, następne cztery pozbawiały nas owłosienia we wstydlwym miejscu, potem ten z lewej przydzielał swoje następne trzy chlapki. W ten sposób w kilkanaście sekund każdy był już obsłużony i gotów do kąpieli. Ale organizacja pracy palce lizać i jak sprawiedliwy podział pracy. Oczywiście przy goleniu dolnej części trzymał każdego za członka, odpowiednio naciągając. Gdy spojrziałem po tej operacji, mój nieboraczek był kwadratowy a po nogach, nie mówiąc o potwornym bólu, łała się podobnie jak z pod pach, krew zmieszana z formaliną. Od rana jesteśmy w jednym z baraków Zugangu w piżamkach i ponumerowani. Dali nam po trochu ciepłej wody zaprawionej mąką żytnią. Ta słynna Mehlsuppe weszła na stałe do naszego jadłospisu. Mam Nr 11831, do dziś aktualny. Przez następnych kilka dni mamy jakby przerwę w pracy, jesteśmy prawie wszyscy owrzodzeni. Obrzydliwe czarne czyraki bolące i smrodliwe, to skutki ostatniej podróży i dobrze, bo organizm odrzuca zatrutą krew. Jeszcze kilka ofiar ostatniego transportu to ci, których te wrzody dobiły już w Krankstubie i co potracili zmysły, wśród nich jest Musiałek nasz kolega z Pruszkowa. Co zdrowszych kapo z *Lagerdienstu*

wyrwają po kilku do różnych robót porządkowych. Jest tu tyle władzy, że nie nadążysz wszystkim czapkować, za byle przewinienie sypią się kije, kary i groźby. Przed każdym esesmanem "*Achtung i Mütze ab*", a łązi ich tu tyłu, co psów. Miej oczy i z przodu i z tyłu bo wpadniesz, a odkąd trwa Powstanie w Warszawie, jesteśmy szaszczycani szczególną uwagą. Ja też wpadłem i poznałem, co to jest *Strafkolonne* i kapo Josef, bo nie oddałem honoru jakiemuś Sturmanowi, zanim go zauważyłem, dostałem w łeb, aż polecałem na piach i zostałem skazany na *Strafkolonne*. Wstaje się tu godzinę wcześniej, godzinę później idzie się spać, pracuje się zamiast 10 jak inni, 12 godzin. Za bramą kapo jest nad tobą panem życia i śmierci. Josef to półbydlę, rozliczał się ze stanu swoich *häftlingów* na bramie i zawsze mu się zgadzało. Ci, co nie wrócili z kamieniołomu na własnych nogach, dowożono na dwukołowym wózku prowiantowym, a po rozliczeniu na bramie jechali do "Iwana", czyli do krematorium. Tę misternie wyrzeźbioną pałę, którą zawsze miał w ręku, jak mówili koneserzy, wyrzeźbił nacinając za każdego, który padł w kamieniołomie jedną kreskę. Otrzymując porcje na cały stan zjadał za tych, co padli. Podobno najdłużej w *Straffkolonne* żyje się 1 miesiąc. Ja po trzech dniach mam już połamane stawy skokowe (taką miałem karę) wracam do Zugangu, a wkrótce na komando do Brzegu n/Odrą. Kamienie, trepy, schody. I tak mam cholerne szczęście. Brzeg! Fasady domów z czerwonej cegły, od dworca idziemy bocznymi uliczkami za miasto, na zachód. 1000 ludzi: 700 Polaków, 300 Rosjan, mamy wymienić wykończoną załogę poprzedniego komanda i mijamy się po drodze. Jest ich około trzystu, są to ludzkie szkielety w podartych, umazanych w błocie łachmanach. Są wśród nich Polacy, Żydzi i Rosjanie. *Heimisdorf* - kawał gliniastego pola solidnie ogrodzonego podwójną siatką drutów kolczastych, wewnątrz izolowane. Przy bramie dwa baraki. W pierwszym mieści się *Wachmanstube*, kuchnia i magazyn żywnościowy, w drugim *Lagerdienst* i magazyn odzieżowy. W środku pola kilkanaście małych domków z płyt pilśniowych, dalej kupa skrzyń, rupieci i trochę drewna budowlanego. Te domki nie pomieszczą nawet połowy *Schutzhäftlingów*, a tu, co gorsze, zanosi się na burzę. Na szczęście burza przeszła bokiem. Dostałem się do domku, leżymy jak śledzie wprost na podłodze, jeden przy drugim. Mam sąsiada tłustego blondynka, mówi po polsku z akcentem ukraińskim. Przytulam się do tego sadetka i mimo, że moje nogi bolą mnie okrutnie, zasypiam prawie natychmiast. Mój sąsiad nazywa się Sinkanik i jest *Folksdeutschem* ukraińskim. Jest tu wielu kolegów z Pruszkowa, a oto nazwiska, które zapamiętałem: kol.L.Trzcziński, J.Oprządek, W.Szymański, H.Sakowski, J.Kowalski, M.Beta, F.Dajsendor, Sokołowski, Bielecki i jeszcze kilku, których nazwisk nie zapamiętałem. Jest też T.Nagolski ze wsi Moszna. Nasz *Lagerführer* August Schneider, kryminalista niemiecki, tłu-

ste bydlę, bandyta z wyglądu i charakteru, od pierwszego dnia popisywał się kopaniem więźniów w brzuch i gdzie popadło za byle jakie przewinienia. Sekundował mu Kolka Laufer, kochanka szefa i tłumacz na język rosyjski, donosiciel i szpicel. Chwalił się, że był oficerem u Własowa, miał 19 lat. Nazywał się właściwie Matwiejczuk i nosił zielony winkiel jak szef. *Schreiberem* (pisarzem) został kol. Rura znający doskonale język niemiecki. Był to gość rozsądny i z charakterem. Jeśli więźniom groziło niespodziewane niebezpieczeństwo, w jakiś oględny sposób starał się o tym poinformować. Doktor Mączka został magazynierem odzieżowym. Nieco później był jednym z współautorów "apelu odzieżowego", podczas którego rozebrani do naga więźniowie stali na 14-stopniowym mrozie, co było przyczyną zgonu kilkunastu więźniów. Zostaliśmy rozdzieleni na grupy robocze i oddani do dyspozycji firm niemieckich, które w okolicy budowały lotnisko i od których poszczególne grupy wzięły swoje nazwy. Tak powstały: Matis Kolonne - roboty ziemne niwelacyjne, około 500 osób; Viwnowa - prace zbrojarsko-betoniarskie, około 200 osób; Eimer - firma hydrauliczna, ponad 100 osób; Transport Komando, Baum Komando i Lagerdienst. Dla każdej z grup August wyznaczył kapo. Najczęściej rekrutowali się oni z kryminalistów i folksdeutschów.

Zaczęła się mordercza praca pod pałkami kapo. Po kilku dniach przeszliśmy pod administrację Luftwaffe; tu dawano nam zwiększone nieco porcje chleba. W Matis-Kolonne wkrótce zasłynął znany mi kapo Sinkaruk, który rozdelał pały na prawo i lewo. Ja od niego nie oberwałem, bo niebawem zostałem przeniesiony na koparkę. Koparka kranowa "Skoda" o pojemności chwybaka 1 m³, to duża maszyna, a jej konserwacja to praca brudna i trudna. Bagermeister Kanicky był zniemczalym ślązakiem, wrogo do więźniów nastawionym, zmieniał często swoich pomocników. Gdy mnie wachman zaprowadził do niego, spytał po polsku:

- Zradzisz nagraiserować ta maszyna?

Odpowiedziałem, że spróbuję. Przyniósł towotnicę, oliwiarkę, kupę szmat i rzucił mi to pod nogi. Splunął i powiedział:

- No to se próbuj.

I poszedł gdzieś na piwo. Wolałem tę brudną robotę od łopaty i zabrałem się do niej z uwagą. Miałem na to prawie całą sobotę. Przejrzałem wszystko, nasmarowałem, oczyściłem nawet kabinę, gdzie znalazłem parę suchych skórek chleba i jakiegoś niedopałka, umyłem też szyby. Od poniedziałku ładowaliśmy żwir z gruntu na wywrotki, miałem za zadanie zatrzymywać wózki pod ładowanie. Zbierałem pierony za każdym razem, gdy wózek stanął trochę za blisko lub za daleko. Kanicky szalał i tego dnia nasypał więcej, jak zwykle, czułem że był zadowolony. Następnego dnia około południa pękła lina główna chwybaka, który rąbnął a wraz z

nim grad pieronów. Tego dnia zorganizowałem dwa duże buraki cukrowe, które upiekły się w popielniku lokomotywki Kwiatkowskiego. Był to bardzo równy Polak w mundurze organizacji Todta. Nazajutrz z rana, gdy wachman mnie doprowadził, Kanicky przyniósł z magazynu nową linę i narzędzia, mówiąc:

- Bier, załóż ta lina. Ja ida do Briku.

Trzeba sobie wyobrazić, jak wygląda taka zbiegana lina stalowa i teraz wywlekaj ją z tych bloków gołymi rękami. Przypomniałem sobie przysłowie, że to sztuka całkiem świeża gołą dupą sięść na jeża. Mimo szmat, którymi owijałem ręce, krew się lała i siusiałem z bólu. Linę jednak wywlekłem. Założyłem nową, dośrubowałem ściągacze, nabrałem żwiru, obciągnąłem tę linę, zdążyłem także ukraść z pola trochę kartofli, które upiekły mi się w ognisku, a w kubie wygotowałem koszulę i pasiak.

Gdy po południu wrócił Kanicky, oglądał, próbował i był oczarowany, poczęstował mnie nawet papierosem. Od tego dnia, dopóki mróz nie chwycił, byłem u niego i mogłem jakoś istnieć.

Praca bez wytchnienia, przemęczenie psycho-fizyczne i liche jak na taką pracę żarcie, powodowały że przybywało mużłmanów. Niezdolni do dalszej pracy byli skazani, tym bardziej że zbliżała się zima.

Pewnego dnia skończył się August Schneider. Kopał więźniów, którzy pod pasiakami mieli koszule z toreb po cemencie, a padał już śnieg. Zdarzeniu temu, oprócz nas, przypadkowo przyglądał się dowódca warty z żoną, która przyjechała go odwiedzić. August został przywołany przez dowódcę i na oczach wszystkich dostał rękawicami po pysku. Przy najbliższej okazji odjechał do Gross-Rosen. Na jego miejsce powołano Czecha z komando Vianowa, z tytułem Lageraltester. Na pewno nie był on aniołem, ale nie tak strasznym sadystą. Nastął w obozie lepszy ład. Dostaliśmy kurtki, zaczęto przebudowywać baraki na większe i solidniejsze. Z naszej pruszkowskiej grupy był tu kol.L.Trzeciński, który jak mógł pomagał co słabszym kolegom. Pracował jako krawiec przy naprawie odzieży, niejednen z nas dostał od niego ciepłą latę, którą można było przyszyć na plecy, albo trochę zupy, nici, mydła. Jan Oprządek pracował w Komando Eimer. Po nastaniu mrozów i mnie tam przenieśli. Obóz nasz był przebudowany i rozbudowywany, podzielony na bloki i Stuby. Z naszej pruszkowskiej grupy byli tu jeszcze H.Sakowski, M.Beta, F.Dajsender, Wł.Szymański, J.Kowalski, Sokołowski i Bielecki. Na początku grudnia zmarło kolejno kilku więźniów, a między innymi T.Nagolski i pochowani zostali poza murem cmentarza żydowskiego w Brzegu, ale wkrótce odbył się wspomniany już apel odzieżowy inicjowany między innymi przez dr.Mączkę, magazyniera. Po apelu tym na izbę chorych poszło od razu ok. 30 więźniów. Rozbieraliśmy się do naga na placu apelowym przy

kilkunastostopniowym mrozie. Trwało to dłużej niż godzinę, wielu więc dostało zapalenia płuc. Wśród nich znaleźli się: Sakowski, J.Kowalski, Bielecki, Sokołowski. Ci, którzy zmarli, zostali pochowani na skraju cmentarza żydowskiego w Brzegu. Resztę chorych zabrano ciężarówką do Gross-Rosen i nigdy więcej już ich nikt nie spotkał.



Grudzień 1939; Francja, Camponeac w Bretanii. Pierwsze oddziały pancerne formowane w Coëtquidan, jeszcze bez sprzętu i umundurowania. W większości składały się one z kadry podoficerskiej. Były to początki późniejszych Brygad: Karpackiej - której część biła się w Narwiku, Podhalańskiej i 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Maczka, której część biła się w 1940 r. we Francji. Na terenie Wielkiej Brytanii Brygada osiągnęła pełny stan liczebny i uzbrojenie. Uczestniczyła w szeregu zwycięstw od Fallesse poprzez Belgię i Holandię.

W górnym rzędzie, piąty od prawej - autor.

Z frontu wschodniego przedostawały się do nas coraz lepsze wiadomości. Spotykaliśmy też warszawiaków. Dowiedzieliśmy się, że Warszawa to jedna wielka mogiła i morze gruzów. Było nam smutno i żałobnie.

Powstało nowe Komando transportowe, tak zwane Czekolade-Komando: 30 ludzi, którzy byli dowożeni do Brzegu i przeładowywali rabowane przez SS, w czasie odwrotu różne towary. Do grupy tej weszli co sprytniejsi, były tam bowiem możliwości organizowania żywności. Pamiętam takie nazwiska: Bratek, Tęsiorowski, W.Zawierucha, Sasza Samurin. Ten ostatni jakiś czas pracował razem ze mną. Imponował mi ten były oficer Armii Czerwonej, który po ucieczce z Lagru w Saganie, dobrnął do Sudetów, a po wpadce trafił do Gross-Rosen, do nas. Był to facet, zdolny, umiejący bardzo wiele. Znał doskonale język polski i miał wiele czaru osobistego. Był w grupie więźniów, którzy zorganizowali ucieczkę. Pewnego dnia po obezwładnieniu wachmanów zdobyli ciężarówkę i dobrnęli nią do lasu. Zdrajcą okazał się jednak H.Zawierucha, który zawiadomił żandarmerię. Jak mi wiadomo, tylko Bratkowi i Tęsiorowskiemu udało się zbiec, resztę uciekinierów wyłapali w ciągu 24 godzin żandarmi z psami. Cały obóz, około tysiąca ludzi, stał na placu apelowym na mrozie i ćwiczył "*Mütze ab - i auf*" dopóki nie przyprowadzono zbiegów. Jako ostatniego przywlekli Samurina. Był zbity i okrwawiony. Wszystkich ustawiali przy bramie, na wprost nas. Nazajutrz tych złapanych i tych, co padli na apelu zabrano ciężarówką do Gross-Rosen.

Choinkę mieliśmy uroczystą: w kupę śniegu na placu apelowym wtknięto to oświetlone symboliczne drzewko. Z odjętych uprzednio racji była uczta: pół miski kartofli i prawdziwy kotlet mielony. Okraszone wspomnieniami i polane łzami wszystkim bardzo smakowały. Zawierucha wrócił do obozu z honorami i został kapo nad muzułmanami obierającymi kartofle, gęsto ich objając kijem.

W końcu grudnia 1944 spadły ogromne śniegi, więc używali nas do odśnieżania dróg i ulic przy blokach Luftwaffe. Tak się rozpoczął dla nas rok 1945: głodno, chłodno i prawie beznadziejnie. Jednak gdzieś w połowie stycznia otrzymałem dwie paczki. Odzieżową: kalesony, ciepłą koszulę i trepy oraz żywnościową: trochę chleba, smalcu, cebuli i tytoniu. Mogę śmiało powiedzieć, że te dwie paczki uratowały mi życie. Byłem już zmułmaniony i załamany. Dostałem także list, jestem już ojcem, urodziła się nam córeczka. Na lotnisku przybyło samolotów, które skrzętnie chowane są w lesie na obrzeżu lotniska i niekiedy startują. Przez cywilów dowiadujemy się, że front jest już w Magnuszewie, a Warszawa wolna. Budzą się nadzieje.

IV. Buchenwald

23 stycznia cały obóz odchodzi na transport. Wieczorem załadowują nas gdzieś na bocznicę za stacją Brzeg, do wagonów po burakach cukrowych pełnych lepkiego błota. W nocy znów łapie mróz i trepy przymarzły do podłogi. Trzeba je zdejmować, odrywać, odbijać. Na bocznicę w Opolu stoimy obok transportu kobiet z Auschwitz, są tam Polki, Rosjanki, Czeszki. Jadą od wczoraj w odkrytych wagonach, przykryły się na głowy kocami. W drodze przysypał je śnieg i przez to mają nieco cieplej. Mówią, że jest wśród nich wiele zmarłych.

24 stycznia po południu dojeżdżamy do Gross-Rosen, znów odwilż, rzadkie błotko od stacji aż do bramy. "Arbeit macht frei"; tym razem nie gra już orkiestra przy bramie jak niegdyś, gdy komanda wracały z kamieniołomu. Obóz jest zatłoczony i częściowo zaciemniony. Dym z "Iwana" opada w dół i wlecze się po ziemi. Cuchnie tu śmiercią. Idziemy przez cały obóz mijamy łaźnie i baraki Zugangu i pakujemy się w błoto powyżej kostek gdzieś na samym końcu, do świeżo postawionego baraku - kwarantanny. Barak zaludnia się jak beczka śledzi. Jesteśmy wymęczeni i głodni, ale jeść dostaniemy następnego dnia (dostaliśmy późną nocą) po łyżce (1/4 l.) rozgotowanej brukwi. Dziś kapo ułożyli nas do snu kijami. Kuchnia nie nadała z przyrzędzeniem jedzenia, tyłu tu ludzi.

Sąsiedni barak zajmują Rosjanie, nie gorzej stłoczeni od nas. Przybyli tu rano z Wrocławia. Mówią, że za Odrą stoi front i artyleria ostrzeliwuje już miasto. Cholerne błoto, rozdeptana żółta glina. Zaraz po nas, w nocy, przychodzi transport Żydów z Blachowni prawie bez przestanku pędzili ich pieszo przez dwa dni, dobijając tych, co padli po drodze. Gdy kolumna z brukowanego majdanu stoczyła się w błoto kwarantanny, zaczęli padać jak muchy, napierani od tyłu przez eskortę SS. Wdeptywali w to błoto tych, co padli. Zapędzili ich do ogromnej szopy po cementie i tam zalegli na noc. Rano następnego dnia, gdy wyznaczony przez Kapo szedłem do obierania brukwi, esesmani szykowali "Blachmer" na transport. Grupa musiała uprzątnąć swoich nieboszczyków. Nie zapomnę tego widoku: po czterech mułmanów, trzymając każdy za rękę lub nogę, wlokło po tym żółtym błocie trupa. Zwisająca głowa żłobiła bruzdę w tej rzadkiej glinie. Gdy wracałem do baraku widniała długa, wygłaskana bruzda. Następnie na transport za dwa lub trzy dni poszli Rosjanie, pozostawiając "Iwanowi" swoją porcję trupów, toteż dymił on teraz bez przerwy, zatruwając powietrze dookoła.

Ja trafiłem na transport 5 marca 1945. Ziemia tam już drżała od wybuchów bomb i pocisków artylerii, trwała bitwa o Festung Breslau. Dwukrotnie widzieliśmy przelatujące samoloty radzieckie. Obóz wyludniał się w

pospiesznym tempie. Wyfasowałem całe 3 kg margaryny i 1/3 bochenka trociniaka, żywność na 3 dni; oczywiście zjadłem to od razu. Podróż do Weimaru z wieloma postojami trwała całe 5 dni. Mam na sobie koszulę i dobre trepy, które dostałem jeszcze w Brzegu w paczce od żony. Przy dożywianiu nadzieją czuję się jeszcze zupełnie nieźle. A odsiew jest spory, z każdego wagonu na bocznicy za Weimarem zwalamy po kilku, a czasem kilkunastu martwych więźniów. W wagonie, którym jechałem, nie spotkałem nikogo ze znajomych. Teraz jesteśmy tu pomieszani: Żydzi, Polacy, Rosjanie, a także Czesi i Węgrzy. Dopiero na stacji wąskotorówki przy obozie łapie mnie ktoś za rękaw i woła po imieniu. Był to Wacław Lenkiewicz, z którym siedziałem w celi 206 na Pawiaku. Ten sympatyczny warszawiak dowłókł się przy mej pomocy pod bramę Zugangu. Tam siedzieliśmy do rana, bo dwa cyrkowe namioty, które stały tam za drutami, były zajęte przez transport Żydów. Czekali oni na łaźnię, która niebawem zaczęła przyjmować. Wózkiem wywożą z tego cyrku bez przerwy zmarłych na plac nieopodal krematorium i tam zwalają na hałdę. Do namiotu weszliśmy pod wieczór, wielu jednak zostaje na placu, między innymi mój towarzysz z Pawiaka. Następnego dnia wyczytują i nas do kąpieli. Gorąca kąpiel, golenie, pasiaki i nowe numery. Potem zmrożone baraki kwarantanny, gdzie dostajemy trochę ciepłej zupy. Dzienna racja chleba na kwarantannie to 100 gramów (większa kromka). W starym lagrze pracujący mieli po 250 gramów i Zulagi w zależności od wykonywanej pracy.

Mój nowy numer to 128322, także aktualny do dziś. Straciłem już rachubę czasu, ale przybyliśmy tu 10 marca. Buchenwald to istna wieża Babel zwłaszcza teraz, gdy przybyły tu transporty z innych ewakuowanych obozów. Kwarantanna to świat muzułmanów i niedobitków. Jestem na bloku nr 50 nie ma tu nikogo z moich znajomych. Ogromny ten barak mieści około 2 tysięcy więźniów. Koje są czteropiętrowe, gołe deski, każda prcya pomieścić może 64 więźniów. Miejsca zwolnione po zmarłych uzupełniają świeżo przybyłymi. Zmarłych wynosi się trzymając za kark, zupełnie nagich. Ich szmaty dzielą między siebie sąsiedzi. Na każdej półce pierwszy z brzegu to stołowy, który podaje chleb dalszym. Ma on też obowiązek meldować o zmarłych. Na zupę schodzą wszyscy na dół, tam otrzymują miski i łyżki, które potem oddają następnym. Jeden raz dziennie stajemy na apel przed barakiem. Władzą wykonawczą jest milicja obozowa uzbrojona w kije. Esesmanów można zobaczyć przy apelu lub na zwyzce (wieżycze) przy karabinie maszynowym.

Od starego Lagru dzielą nas druty. Zachwyca mnie czystość i porządek, jaki tam panuje i bardzo chciałbym jak najprędzej tam się dostać. Bloki są tam zaludniane według narodowości. Blok 16 zajmują Polacy. Rosjanie mają tam oddzielny, odgradzony sektor.

Nasz blokowy to komunista niemiecki, w obozie zresztą wielu więźniów podziela sympatie lewicowe. W naszym bloku istnieje ośrodek dyspozycyjny lewicowców, ukrywa się tu co najmniej trzech oficerów radzieckich. Mały Stasio ciągle stoi przed barakiem. Domyślam się, że pełni jakąś specjalną służbę. Wkrótce poznałem go bliżej. Jest robotnikiem z Pabianic. Polubił mnie i w ogóle jest to chłopak z sercem. Od Stasia dostałem trochę cukru w kostkach, często romawiamy. Zapisał mój numer i wkrótce zostałem przeniesiony do bloku 16. W obozie o nazwiska nikt nie pytał, ja także nie pytałem, a szkoda. W bloku 16 patrzą na mnie nieufnie, każdy świeżo przybyły może być wtyczką i musi być sprawdzony. Już następnego dnia jestem skierowany do pracy w niewielkim kamieniołomie. Warunki pracy są tu jednak daleko lepsze niż w Gross-Rosen. Obóz jest pod patronatem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i starzy wyjadacze otrzymują paczki żywnościowe. Ogromne fory mają tu Czesi, prawie wszystkie lepsze funkcje są przez nich obsadzone. Są skrupulatni, dokładni, punktualni. Jestem z zawodu mechanikiem i wkrótce zostaję przeniesiony do *Guzlówwerke* do pracy poza obozem. Tam montujemy początkowo zespoły do pocisków K-2, a po zbombardowaniu zakładów jaszczce artyleryjskie. Przy pierwszym nalocie jeszcze mnie tam nie było, ale przy drugim, gdzieś pod koniec marca 1945, całe hale montażowe a z nimi wielu więźniów, zamienione zostały na kurhany gruzów.

Był także nalot na Weimar i niektóre komanda zostały skierowane do odgruzowywania ulic i zbombardowanych obiektów tego miasta, między innymi i ja. Ostatnio stosowane przez aliantów naloty dywanowe przynosiły zagładę całym dzielnicom, tak że trudno było przekopać ulice. Co by powiedział teraz Goethe, gdyby mógł zobaczyć, co się dzieje w tym jego rodzinnym mieście i okolicy. Wolałby chyba nie żyć. To było piękne miasto, pełne renesansowych pałacyków, ogrodów i trawników, które już się zazieleniły, a także kamieniczek jak cacuszka.

Nad obozem przelatują teraz często alianckie samoloty zwiadowcze. Po bombardowaniu wracały do macierzystego obozu komanda "Dora I" i "Dora II". Z przeszło 2 tysięcy ludzi przekroczyło bramę paruset mużulmanów. Brakuje koks do "Iwana", nie ma soli w Obozie. W Wielką Niedzielę pracujemy w *Guzlówwerke*. Poprzedniego wieczoru, to znaczy w Wielką Sobotę dostałem od jednego z kolegów, pracującego jako pomoc w kuchni, gruboobranych obierek. W pracy mam kuźnię przenośną do podgrzewania nitów, tam ugotowałem je i posoliwszy łzami (które także nie były słone) zjadłem. To była moja ucztą Wielkanocna i tej niektórzy mi jeszcze zazdrościli.

Przy krematorium leżą dwie, ogromnych rozmiarów hałdy trupów. Utworzone w sektorze radzieckim dwie grupy komanda "Bismark-Tun"

mają je załatwić. Rosjan jak zwykle używają do tych najbrudniejszych robót. Robi się ciepło, w całym obozie pachnie sraczką "Durchwal" i śmiercią. Umiera z wycieńczenia codziennie paręset ludzi. Dwie grupy "Bismark-Tun" kopią teraz doły w dowolnie wskazanych miejscach wokół obozu. Dwie potężne ciężarówki "Bising" wywożą zmarłych z hałdy. Przypadkowo widziałem taki załadunek, nie różni się niczym od ładowania lekkich worków. Otwierają klapę i chwytają po kolei umarłych z hałdy, jeden za rękę drugi za nogę i chlast - nieboszczycy lecą w powietrzu jak wyrzucone żaby aż do wypełnienia wozu. Do takiego wozu wejdzie na raz najmniej ze 150 zwłok. Dobrali do tego transportu co najsilniejszych, dali im brezentowe kombinezony i rękawice, dostają też specjalną Zulagę i trochę wódki. Doły po napełnieniu posypywane są wapnem i zasypywane na równo, po czym zasiewane trawą, owsem itp.

Wszelkie informacje przenikają w obozie z niewiarygodną szybkością. Dowiadujemy się, że odchodzą do transportu duże grupy. Dokąd, u diabła, będą nas jeszcze wlekli? Jest początek kwietnia, noce są zimne, najgorsze jednak są deszcze, bo gdy taki muzułmanin zmoknie, to można powiedzieć, że jest prawie gotowy do aniołków. Łamie się niemiecki "*Ordnung must sein*", chaos mimo terroru narasta.

Przyszedł transport z Ravensbrück, front wschodni jest pod Berlinem, zachodni tuż za nami. Mimo wszystko ładujemy się na transport, tym razem to nas chyba specjalnie obsłużą. Dostajemy po dwie pajdki, jak to możliwe? Jest 8 kwietnia. Pod wieczór dojeżdżamy prawdopodobnie do Jeny na bocznicy. W nocy nalot, od podmuchów eksplozji wagony podskakują, mimo wszystko cieszymy się. Rano ruszamy w dalszą drogę. Na naszych oczach Chemnitz staje się kupą gruzu. Zwikau też dostało swoją porcję. Jedziemy gdzieś w Sudety, postanawiam uciekać. Jest w naszym wagonie dobrana paczka złodziei. Już pierwszej nocy okradli z pajdek trzech więźniów. Te okruszyny chleba znaczą tu, w transporcie, mniej więcej tyle, co życie. Ja jestem spokojny bo swoją pajdkę zjadłem zaraz po otrzymaniu, obserwuję jednak tych złodziei. Rozmawiają z sobą po rosyjsku, ale odnoszę wrażenie, że są to Ukraińcy. Ich prowodyr, wielki chłop z wąsikami obwisłym, powiesił swój chlebak na wystającym gwoździu. Tak wyobrażałem sobie Bohuna z "Ogniem i mieczem".

V. Ucieczka i powrót do życia

Zapada druga noc, czuję jakby nakaz wewnętrzny, że muszę uciekać. Obmyślam więc drobiazgowy sposób wykonania tego zamierzenia. Gdyby tak po drodze gwizdnąć Bohunowi ten chlebaczek? Opiera na nim swoją głowę, ale ma w nim - czuję to na pewno - swoją pajdkę. Jest już głęboka noc, pociąg od pewnego czasu zaczął wspinaczkę, słychać sa-

panie lokomotywy i zwolnione tempo jazdy. Kątem oka spod koca obserwuję wachmanów; drzemią obydwa, Bohun też. Teraz albo nigdy. Wysuwam się spod koca cichutko. Słyszę, jak mi wali serce. Chwytam oburącz za burtę, odbijam się i w sekundzie, robiąc w powietrzu półobrotu, jestem za burtą. Przytrzymuję się lewą ręką, prawą chwytam za taśmę chlebaka i szarpnąwszy spadam z nim w dół. Upadam, a fiknąwszy kozła leżę nieruchomo i nasłuchuję. Ale nic, cisza! Jakże cholernie wolno przetaczają się następne wagony. Wreszcie minął ostatni, stukot oddala się, podrywam się, wspinam się po skarpie przekopu i stwierdzam, że jestem w lesie. Jestem wolny i w dodatku okradłem arcyżłodzieja. Otwieram pospiesznie chlebak i zaglądam do środka. Nie pomyliłem się, jest w nim cała pajdka i porcja margaryny. Zjadam to pośpiesznie i drzemię dłuższą chwilę, przytulając się do drzewa. Wiosenne leśne powietrze pachnie cudownie. Nim wstanie świt przeprowiam się z powrotem na drugą stronę torów. Świeci wąski sierp księżycy, jest dosyć jasno. Prześlizgując się cichutko, widzę w tej poświacie nieco w dole jakieś zabudowania i obchodzę je powoli. Jest to niewątpliwie leśniczówka. Zjedzona pajdka i powietrze pobudziły nieodłączny głód i pragnienie.

Taki półmuzułmanin jak ja, wypuszczony do lasu i głodny, jest chytrzejszy od lisa. Po obejrzeniu gajówki wiedziałem niemal od razu co tu mogę zdobyć i w jaki sposób, że jest tam na pewno dobry pies i jak zająć, aby go nie zbudzić i że nieopodal w klatkach są króliki. I cel mój osiągnąłem, obserwując psa zaszedłem pod wiatr, odplotłem kawałek siatki. Na próżno miało się w mojej dłoni milutkie maleństwo. Wyciągnąłem je, ściskając za szyję, po drodze ściągnąłem ze sznura robocze ubranie, które się tam suszyło i już byłem z powrotem w lesie. Skręciłem kark biednemu królikowi, wyssałem wszystką krew, następnie zdałem skórę i ogryzłem dokładnie każdą kostkę, wysysając szpik. Poczułem się silny i ufny. Przebrałem się w cywilne ciuchy i idąc dalej w las napotkałem strumyk, z którego się napiłem, potem obmyłem się. Okazało się, że był to wodopój i gdybym miał więcej sił, schwytałbym sarenkę, ale szarpnęła się tak silnie, że potoczyłem się po wrzosach puszczając jej nogę.

Cały dzień szedłem przez las, zachowując ostrożność. Noc spędziłem na dębie. Następnego dnia rano wyszedłem na skraj lasu. Zmieniam kierunek na wschód i znów zapuszczam się w las. Po drodze spotykam ludzi pracujących przy wyrębie. Był tam jakiś leśnik i żandarm oraz 8 czy 9 ludzi. Piła motorowa i padające drzewa czynią wiele hałasu, mogłem się więc dość swobodnie poruszać. Podczołgałem się, kradnąc wiszącą na drzewie torbę. Pełzając cofam się ostrożnie, a gdy okrywa mnie poszycie, odwracam się i biegnę, pozerając w biegu wszystko, co było w torbie, ale

niestety było tego niewiele: dwie kromki chleba z margaryną i butelka kawy z mlekiem oraz trzy niewielkie marchewki.

Ubiegłem kawał drogi podczas tego śniadania i teraz idę powoli dogryzając ostatnią marchewkę. Gdy poczułem zmęczenie, wybrałem okazały dąb i na jednym z konarów urządziłem legowisko. Obudziło mnie ujadanie psa gdzieś pode mną. Pomyślałem, że to już koniec mej wolności w pachnącym lesie. Widzę wymierzoną w siebie dubeltówkę i dziadka z *volksssturmu* w zielonym kapeluszu z piórkiem. Wrzeszczy, że mnie zastrzeli. Proszę aby przytrzymał psa, który wspina się i gotów mnie rozszarpać, potem schodzę. Odprowadził mnie pod lufą do wioski i oddał wojskowym. Był to oddział łączności Wehrmachtu. Jeden z dwu oficerów, którzy tam byli, miał ogromną ochotę mnie stuknąć. Na moje szczęście któryś z żołnierzy ofiarował się odprowadzić mnie do następnej wioski i oddać żandarmowi. Po drodze dał mi nawet papierosa.

U żandarma był już jeden zbieg z transportu. Nie było sensu udawać cywila, za bardzo byliśmy do siebie podobni. Żona żandarma, (być może Czeszka) nakarmiła nas obydwu po czym żandarm odwiózł nas do Brix na komendę i dalej do więzienia. Przeżyłem dziwne skojarzenie: więzienie to wydawało mi się bardzo podobne do Pawiaka, z tą różnicą, że miało dwie kondygnacje podziemne i trochę więcej pluskiew. 19.04.45r. zostaliśmy przeniesieni do *Arbeitserziehungslager Malthern*. Czesi mówią po prostu "Malta". Tu za byle co łamie się gnaty, pracuje się na tempo i bez względu na pogodę 12 godzin.

Zaczynam wierzyć, że przeżyję, bo potrafię omijać kije, a żarcia tu trochę więcej.

Przy budowie lotniska, gdzie oblatują odrzutowce, trafiamy na posadzone w polu ziemniaki, a więc dodatkowe żarcie. Opiekuję się po trosze młodym Polakiem, był kominiarczykiem u majstra Niemca i ten oskarżył go, że nazwał Hitlera wariatem, chłopiec ten nazywał się Zygmunt Urban. Trzymamy się razem. Po nocy z 6 na 7 maja, kiedy to uciekli esesmani i kapo, wychodzimy na wolność i trafiamy bezpośrednio na front. Prawe skrzydło armii gen. Żukowa ma za zadanie przeciąć szosę idącą z Duchsowa na południe, którą wycofują się oddziały SS. Front rozdziela wysoki nasyp kolejowy. Niemcy mają tę przewagę, że mając słońce za plecami i doskonałą widoczność, zaryglowują ogniem z cekaemów przekop i wierzchołek rowu. Nacierający pod słońce Rosjanie ponoszą znaczne straty. Wówczas to wchodzi do akcji katusze. Widziałem je po raz pierwszy i to od razu w akcji; przedtem słyszałem tylko o tej broni od kolegów radzieckich jeszcze w Brzegu. Żeby zobaczyć, co się dzieje po tamtej stronie, wdrapaliśmy się wraz z Urbanem na strych częściowo zrujnowanego murowanego budynku. Widzieliśmy stąd, będąc nieźle osłonięci, spory odci-

nek po tamtej stronie torów. Te palące się fajerwerki padały w równych odstępach na przedpolu coraz dalej aż pokryły stanowiska nieprzyjaciela i wszystko tam zamarło, podobnie jak ruch na drodze. Bujały się tylko płomienie i pękały w ogniu zbiorniki paliwa w płonących pojazdach. Równocześnie posypały się tam bomby i to w takiej ilości, że niebo mieszało się z ziemią. Wkrótce z oddziałami frontowymi przedostaliśmy się do szosy. Po ominięciu zatoru i zgliszczy poszliśmy w stronę Duchsowa.

Teraz byliśmy już naprawdę wolni. Zamieszkaliśmy w domu tego mistrza Niemca, który teraz czołgał się i żebrał, żeby nie mścić się na nim. Następnego dnia był salut armatni. Niemcy podpisali bezwzględłą kapitulację. Marszałek Żukow przyjmował defiladę swej armii odprawiono na wschód ogromną kolumnę byłych SS. Szli ci prawdziwi przedstawiciele "Herrenfolku" z pospuszczanymi gołymi łbami, a Czeszki pluły im w twarz. Zygmunt dostał gorączki i nie mógł nic jeść. Ja wprawdzie cały czas gotowałem kleiki i jadłem na jego oczach, żeby go zachęcić, co mi się w końcu udało. Ale sam niewiele z tego korzystałem i ważyłem niewiele ponad 35 kg.

25 maja 1945 r. wróciliśmy do Kraju. Zygmunt wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego, został skierowany do Szkoły Łączności w Sieradzu. Ostatnią wiadomość o nim miałem w roku 1964 czy 1965. Był w stopniu podpułkownika nawigatorem i zastępcą dowódcy eskadry w Krakowie.

Wszystkie przytoczone w mojej relacji fakty, jak i nazwiska, są prawdziwe. Szkoda, że zapamiętałem ich tak niewiele. Pomocą w ich ustalaniu były mi notatki z okresu współpracy z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Pruszków, 10.III.1979 r.

